



0 złej chemii znad Wisły (cz. 2)

Sama nazwa „polactwo” określa, poza polską mentalnością, pewną ułomność w rzeczach podstawowych – jak problemy z dogadywaniem się, a także przywary, złe nawyki.

Wspomniany powyżej autor książki „Polactwo” punktuje zwyczajowego prostaka i chama (czyniąc rozróżnienie pomiędzy tymi kategoriami), drobnego cwaniaczka rodem z Dolegówicowskiego Dyżmy, kombinatora, niedouka, który wskutek społecznego awansu np. zasiadł w Sejmie, opisuje też postać wszechobecnego mentalnego dresiarstwa.

Dostaje się równo wszystkim: zachłannej szlachcie i biernemu chłopstwu, ogorzałym od chłania burzujom i całej swojskiej „zlemingowacalej” masie. Wszelkiego typu analizy (nawet bolesne) są na wagę złota. Autor nie poważa narodowych „świętości”, ośmiela się je krytykować, włącznie z „nietykalnym” przeciwieństwem mesjanizmem wraz z jego głównym głosicielem Adamem Mickiewiczem, nazywanym wieszczem.

Ile taki Mickiewicz wyrządził szkody? Zamiast pracy „u podstaw” – nauki np. tego, jak nauczyć się ze sobą rozmawiać, wartościowania uczciwości, pracowitości, bycia po prostu miłym dla własnego sąsiada – przez lata wpajano etos Polski jako Chrystusa narodów. Kazano wierzyć, że jesteśmy najbardziej wyjątkowi z wyjątkowych tylko dlatego, że tak historycznie dostawaliśmy po d...e. Za mało w nas Gombrowicza i Lema, a za dużo Mickiewicza i Sienkiewicza. Warto cofnąć się (tak dla sportu – dla rozruszania głowy) w rejs po burzliwych wodach historii rodzimej literatury.

■ W przestrzeni publicznej od pewnego czasu funkcjonuje termin „polactwo”. Właściwie nie wiadomo do końca, kto go wymyślił. Przypisywany jest mu zestaw pewnych cech krytycznych odróżniających nas, Polaków, od innych. Określeniu temu poświęcono wiele artykułów i nawet książek, wśród których najbardziej znana jest autorstwa Rafała Ziemkiewicza.

Oskar Urbaniak

Możemy zacząć od „Baśni o królu Popielu”, „Monachomachii”, przez „Rozprawę między Panem, Wójtem a Plebanem”, opowieści o księciu Twardowskim (będącej pochwałą cwaniactwa), by wejść do świata „Zemsty” Fredry (czyż jest polska zapiekłość i skłonność do niezgody – owa polska chemia), po czym zatańczymy chocholi taniec w rytmie „Wesela” Wyspiańskiego. Prześledźmy na nowo np. „Miłosierdzie gminy” i „Antka muzykanta” – opowieści o zmarnowanych talentach i czym jest dla rodaka wizerunek sąsiadki. Możemy przypomnieć sobie „Moralność Pani Dulskiej”, po czym np. wziąć się za „Karię Nikodema Dyżmy” – prawdopodobnie ta pozycja jest najbardziej uniwersalna i trwała – model z drobnymi modyfikacjami praktycznie niezmienny. A na zakończenie coś nowszego, np. prozę Marka Nowakowskiego i opowieści o praskich cwaniaczkach.

Takich pozycji jest bardzo wiele. Zawierają krytykę naszych przywar i niezmiennych negatywnych cech. Ich autorom przyświecała myśl punktowania naszych wad, nie pisano ich „ku pokrzepieniu serc”, ale żeby nauczyć się na własnych błędach i nie powielać tego, co od lat doprowadza naród do różnych historycznych katastrof.

Mimo upływu kilkunastu pokoleń zmieniło się niewiele. Mamy, niestety, krótką pamięć.

Panuje swoisty etos cebuli i buraka. Jakże widoczne jest to zwłaszcza na polskich drogach, gdzie jakiś podskórny gen każe łamać wszystkie przepisy. Za punkt honoru postawienie sobie, że należy wyprzedzić wszystko, co pojawia się przed nami na drodze. W końcu „chłop żywemu nie przepuści”. Mamy jakiś rodzaj pierwotnego niedobrego genu, swoistego nowotworu, który płynie w naszej krwi. Cwaniactwo wzięło się pewnie z zaborów, kiedy to państwo było aparatem opresji i trzeba było sobie zawsze jakoś radzić. Wzmocnił to PRL, w którym trzeba było przyswoić sobie przede wszystkim jak zakręcić, wykombinować, żeby zawsze wyjść na swoje. Żeby być cwańszym od sąsiada. Mamy to najwyraźniej w krwi. To jest światowy fenomen. Cwaniactwo i kręctwo nawet w sytuacjach tego niewymagających, wydawałoby się neutralnych jak np. przywoływane tu wcześniej wakacje „all inclusive” w hotelu, w modnym kurorcie. Żadnemu Niemcowi, Francuzowi czy Brytyjczykowi raczej nie przyjdzie do głowy, żeby tak kombinować, łamać zasady.

Na drodze, w sklepie, w szkole, na pocztce, w urzędzie, w restaura-

cji, knajpie – wszędzie widać ten gen znad Wisły: gen złej chemii, niechęci, agresji i wkurzenia. Jesteśmy wobec siebie agresywni, zajadli. Agresję widać w szkołach, agresywne wobec siebie są już dzieci. „Genetycznego agresora” widać np. na ulicach Warszawy lub Krakowa. Zła chemia bucha z młodych, i nie tylko, właściwie wszędzie. Praktycznie gdyby można było i nie groziły za to żadne kary, zdziesiątkowalibyśmy się sami w jeden dzień. Chociaż potrafimy cudownie jednoczyć się w chwilach trudnych, dziejowej klęski. Najgorzej jest wtedy, kiedy panuje spokój. Paradoks – kiedy jest „dobrze”, nam jest niedobrze.

Prawdziwych przyjaciół poznaje się chyba jednak w szczęściu.

Większość imprez z udziałem Polaków po tzw. spożyciu kończy się w 85% przypadków zademą. Bo krzywo spojrzal, bo ma inny pogląd polityczny, bo „wrywa” moją laskę, bo mu źle z gęby patrzy, bo ma świ-drujące oczka, bo jakiś dziwny, pewnie „pedał”.

A kiedy jeszcze na imprezie pojawi się amfą lub inne piguły, budzi się w większości demon. Czy w jakiejś innej nacji wódka odbezpiecza tak szybko zły zapalnik?

Jakże niewiele trzeba zrobić, żeby impreza masowa skończyła się to-

talną bijatyką. Wystarczy obejrzeć krajobraz po meczach w większych miastach. Jak po huraganie. Po drodze wszystkie wozy porozbijane, kosze w szybach wystaw sklepowych. Tak zwana poezja Wschodu. Trudno się nie obawiać wyjścia na imprezę w sobotę wieczorem w Warszawie. Poza pięknie wyglądającymi miejscami na światowym poziomie, poza fasadą luksusowych, supernowoczesnych budynków, drogich apartamentowców, superluksusowych sklepów, restauracji i barów, gdyby zdrapać tę nęcącą lśniąca pozłotkę, pozostaje to, co się nie zmienia, nadwiślański aksjomat: zady-miarstwo, pijaństwo, złodziejstwo, kur... stwo, cwaniactwo, buractwo. Wielkie jajko Faberge: kapiące od złota, drogie na zewnątrz, pusta w środku wyduszką.

Takim kulturowo-cywilizacyjnym powodem naszej wściekłości jest nieustanna frustracja z powodu niezrealizowanych potrzeb. Wytwarza się w nas silną potrzebę posiadania coraz to nowych dóbr. Agresja odbywa się też na poziomie języka. Czyżby w imię koślawa pojmowanej wolności? Wystarczy przejechać się autobusem miejskim, żeby poznać „czar mowy polskiej”. Jesteśmy zewsząd bombardowani wszelkiego typu wyrazami na „k” „ch” i innymi. Padają one z ust nie tylko chłopaków, ale i dziewczyn.

Ublizanie przez Polaków innym mniejszościom narodowym jest już chyba legendarne, wulgarnie odzywki w środkach komunikacji miejskiej i samochodach są codziennością. Z dialogu usłyszanego kiedyś w warszawskim tramwaju: „Agnieszka